

Słoń

Słonie to sympatyczne i bystre zwierzęta.

Mają też swoje zwyczaje, czasem niemiłe dla ludzi. Zwłaszcza dwa. Pierwszy to wrodzone predyspozycje do destrukcji porcelany. Drugi – lubią na ucho nadepnąć.

Maciej Stryjecki

Słoń to wielkie bydlę, więc jak już nadepnie, będzie po herbacie. Człowiek po takiej przygodzie traci zainteresowanie muzyką. Pozostaje często wrażliwy jedynie na rytm, chociaż w skrajnych przypadkach i to przepada. Poszkodowanego osobnika da się łatwo rozpoznać. Ot, chociażby na rodzinnych imprezach, głównie weselach. Od razu widać, że wujek Janusz musiał być w Afryce, bo kiedy tańczy z ciocią Halinką, to jakoś tak bez związku. Oczywiście, nie małżeńskiego, tylko z muzyką. Jej puls na wujka nie działa zupełnie, bo ma własny, wewnętrzny.

To wcale nie musi być przykre. Owszem, czasem źli ludzie skrytykują, jak już przyjdzie do śpiewania „Sto lat” (wujek ma głos jak dzwon), ale brak muzycznych ciągów nie boli. To jak z papierosami. Jeżeli się nigdy nie paliło, dymka nie brakuje. Co więcej – śmierdzi i przeszkadza. Nadepniecie słoniowe może owocować melowstrętem, ale to już skrajne przypadki. Są za to pozytywne. Ile to się zaoszczędzi na biletach do opery, nie wspominając o sprzęcie grającym...

W poprzednim wstępniku pisałem, że ludzie nie doceniają swoich uszu i mawiają, że to wynik braku słuchu. Bo co innego muzycy, a już zwłaszcza ze słuchem absolutnym, czyli takim, no... najlepszym. Osoby wypowiadające magiczne określenie zwykle wyobrażają sobie znowu zwierzę. Tym

razem nietoperza. Taki to usłyszysz, jak kot w drugim pokoju puści bąka, nawet za zamkniętymi drzwiami (nawiasem mówiąc, dobrze nie mieć w tej sytuacji wężu absolutnego). Otóż, moi drodzy, to nie tak.

Wokół słuchu narosło wiele mitów, opartych na pseudowiedzy. Zaczniemy od wspomnianego „absolutu”. Ten dar nie ma nic wspólnego ani ze szczególną wrażliwością młoteczka, ślimaka czy innych narządów, ani też z jakimś nadnaturalnym wglądem w pudła rezonansowe skrzypiec. To w pewnym sensie pamięć albo raczej – zdolność do określenia wysokości pojedynczego dźwięku. Od razu wiadomo, że to „a razkreślne”, czyli po naszymu – 440 Hz. Tak samo z tonacją. Słuchamy koncertu fortepianowego czy symfonii i bezbłędnie rozpoznajemy, że to g-moll. Bez zastanowienia, intuicyjnie. Tak jakbyśmy patrzyli na kolorowe karteczki. Ta jest biała, tamta czerwona, a ta czarna. Czy to pomaga w karierze muzyka? Niekoniecznie. Jeżeli się jest stroicielem fortepianów, to wspaniała predyspozycja. Jeżeli klarncistą – problem.

Instrument transponuje, więc zapis nutowy jest niezgodny z dźwiękami wydobywającymi się z drewnianej rury i to bardzo przeszkadza. Podobnie śpiewacy i instrumentalści z zespołów muzyki dawnej. Ci z absolutem cierpią, bo wspomniane „a” to już nie 440, ale 432 Hz. Wszystko brzmi fałszywie, wręcz rani. Z „absolutem” człowiek się rodzi, chociaż Japończycy mawiają, że można go wyrobić, jeżeli wcześniej się znacznie edukację muzyczną. Najlepiej w wieku dwóch lat. Można mieć też dobry słuch relatywny, który w trakcie 20 lat edukacji wiolonczelisty czy dyrygenta katuje się przedmiotem „kształcenie słuchu”, polegającym na pisaniu dyktand, solfeżu i wielu innych przykrościach. Ten opiera się na określeniu relacji pomiędzy dźwiękami. A ściślej – odległości, zwanych interwałami. Tercja, kwarta, kwinta, oktawa... To w zasadzie już nie sam słuch, ale w pewnym sensie inteligencja, natychmiastowa analiza, najbliższa chyba matematyce. Wszystko po to, żeby posługiwać się jak najsprawniej zapisem nutowym w obie strony (zapisać, co słyszymy i zagrać/zaśpiewać, co widzimy w pięcioliniach; jeżeli w starych kluczach, to od razu tłumacząc z łaciny na nasze). Jak to się ma do słuchania

muzyki? Tak samo, jak wielkość nosa do wiedzy o winie. Jak ktoś ma kulfon niczym gruszka ulegałka, to jeden niuch z kieliszka i wiadomo, który rocznik Chateau Margaux, prawda?

Słuchanie muzyki, delektowanie się jej pięknem jest raczej związane z wrażliwością na barwę dźwięku, czyli po inżyniersku – widmo. Podobno kobiety „są bardziej” i stąd większe szanse mają u nich chłopaki z gitarą. Tak samo ci z aksamitnym głosem. Bo facet patrzy; wcale nie w oczy.

Nie traćmy jednak nadziei, bo są i tacy bardziej podatni na fortepianowe recitale i kwartety smyczkowe. To już jednak pewien rodzaj wrażliwości, czasem skutek wychowania w domu rodzinnym, a niekoniecznie zdolność do rozbierania widma. To się raczej odczuwa i wbrew pozorom bardziej uprzywilejowani są amatorzy niż profesjonalni grajkowie, a już zwłaszcza muzykolodzy (to moja teoria). Muzykę odbierają intuicyjnie, bez obciążenia analizą dokonującą się w wytresowanym mózgu. Owszem, zawodowcy kochający swój fach ponad życie to inna sprawa, ale mają skazę. Instrumentaliści zawsze będą patrzeć na aparat wykonawczy, interpretację, biegłość techniczną itp. Teoretycy czy kompozytorzy (bardzo bliskie specjalności) będą analizować formę utworu, przeprowadzenia tematu i łączniki w fugach. To silniejsze nawet od alkoholu w dużej dawce. Najlepiej to widać u miłośników opery. Nie obrażając, takie legendy jak wspaniały Bogusław Kaczyński, to najczęściej kompletni laicy. Chciałoby się powiedzieć, często tacy, co im słoń...

Zostawmy w spokoju to cudowne zwierzę. Dość ofiar położyło na muzycznym ołtarzu, zwłaszcza samce. Gdyby nie ich kły, fortepian Beethovena i Chopina wyglądałby inaczej. A już na pewno grałoby się na nim pod górkę. Wszystkie nowoczesne materiały, z których robi się klawisze, a ściślej płytki, mające bezpośredni kontakt z palcami, „pocą się”. To prowadzi do utraty intymnego kontaktu. Kto spędził 20000 godzin przy czarnym smoku wie, o czym mówię. Nawet jeżeli ma zielone serce, to znajdzie stare pianino i przełoży, co trzeba. Słoniowego wkładu w historię muzyki nie da się niczym innym zastąpić.

No i co, nie ma prawa, w imię sprawiedliwości dziejowej, czasem nadepnąć?